Nr. 48. We Lwowie dnia 2. grudnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Shelley.

(Ciąg dalszy).

W szkole uczniem wzorowym nie był; nie należał do tego rodzaju dzieci, które wcześniej, niż potrzeba, objawiają szczęśliwe, opłacające się zamiłowanie porządku i szacunek dla przełożonych — owszem, Shelley był krnąbrnym i niejednokrotnie dawał profesorom swoim powód do niezadowolenia.

Podczas lekcij, jak opowiadają jego bjografowie, wyglądał zwykle przez okno, gonił przesuwające po niebie obłoki, przypatrywał się łamaniu blasków słonecznych lub rysował po książkach fantastyczne kontury drzew.

W domu całe godziny trawił na lekturze; czytywał zaś przedewszystkiem książki o treści tajemniczej, pełne niezwykłych wydarzeń. Że podobna lektura nie mogła dobrze wpływać na ustrój nerwowy wrażliwego dziecka, że osłabiała jeszcze bardziej słabą z natury konstytucję, rzecz to prosta, dodawała atoli skrzydeł bujnej wyobraźni, unosząc ją w sfery nieznanego, nieskończonego. Podrósłszy, upodobał sobie w chemji, zdawało mu się, że zdobędzie klucz, otwierający mu bramę do ciemnego, niezbadanego gmachu przyrody, którą, jak sam powiada, umiłował nad wszystko. W jednym z późniejszych poematów, w »Alastorze«, czyni aluzję do owych studjów, mówiąc, że był rówien alchymiście, który za niepewną, tajemniczą nadzieję zbadania istoty wszechrzeczy, gotów odprzedać swój żywot. »Przyrodo! ty matko podniosła niezgłębionych światów — ciebiem ukochał, ciebie jedynie«, powiada we wstępie do Alastora, »wszak zawsze pragnąłem, aby odnaleść tajniki twej drogi i zawszem zatapiał źrenice serca w g ł ę b i n i e t w o i c h z a g a d e k«. Jam szukał w trumnach i sklepach grobowych posłania, tam, gdzie trofeje swych zwycięstw, wydartych tobie, o matko! śmierć w długim przywykła składać szeregu, i byłem przepełnion ową nadzieją, że pytań gorących, czemże ty jesteś i czem twoje dzieci, powstrzymam potok, zmusiwszy upiora, by jako prorok przez ciebie mi wysłan, objawił, kto i czem my jesteśmy«... Ta chęć zbadania zagadki bytu na drodze tajemniczej cudowności miała swoje pendant w halucynacjach, które już od dzieciństwa go prześladowały. I tak opowiada jedna z jego sióstr, że pewnego razu przebił sufit w domu, ponieważ sądził, że ujrzy nieznany jakiś świat. Wierzył najmocniej i to do późnego stosunkowo wieku, że w stawie w Fieldplace żył trzechsetletni wąż, którego przez nieostrożność zabił ogrodowy. Halucynacyjne krajobrazy przybierały u niego kształty konkretne, wydarzenia, urodzone z fantazji, przyoblekał nieraz w jaknajlepszej wierze w suknie rzeczywistości. Złudzeniu też prawdopodobnie należy przypisać kilka późniejszych szczegółów, które sam Shelley podawał za prawdę, a które dotychczas nie zostały wyjaśnione, n. p. wrzekomy zamach na jego życie i tajemnicza postać kobiety, która go miłością swoją prześladować miała we Włoszech, tak, że poeta dla niej, przybranej zawsze w suknie żałobne, uciekał z jednego miasta do drugiego.

W szkole zetknął się Shelley po raz pierwszy z rzeczywistością ohydną. Koledzy jego, przeważnie dzieci kupców, nieokrzesani i surowi, odnosili się wrogo do zadumanego wiecznie młodzieńca. Był t› naturalny wstręt, który instynktowo okazują organizmy niższe względem istot doskonalszych. Dlatego, że przeczuwano jego wyższość, chciano go gwałtem zmusić, ażeby im usługiwał. Ponieważ zaś Shelley, mimo marzycielskiego usposobienia, posiadał upór niezgięty, więc chciano go złamać — wymierzaniem mu plag. Była to straszliwa nauka, jaką idealnemu,

nad wiek swój rozwiniętemu chłopcu dało na samym wstępie życie. Postępowanie kolegów stało się w nim pierwszym zawiązkiem nienawiści, z jaką ścigał aż do końca życia wszelkiego gatunku tyranje, stało się dlań, jak powiada w jednym ze swych poematów (Revolt of Islam) bodźcem do tego, ażeby »starać się być innym, niż ludzie nikczemni, ażeby być sprawiedliwym i mądrym, a przytem dzikim i swobodnym«; »jeżeli, powiada, mam tę siłę, to nigdy od dążenia tego nie odstąpię, albowiem patrzyć nie mogę, jak ohydnie uciskają przemoc i samolubstwo«. Wtedy to zdawało mu się, że jest potęga, która zbawi świat, mianowicie »duch piękna i miłości«; wtedy to po raz pierwszy zaczął innej dobierać miary w sądzeniu społeczeństwa, a innej w sądzeniu jednostek: wtedy to zaczęło pewniejsze przybierać kształty optymistyczne mniemanie, że człowiek wyszedł dobry, doskonały z rąk natury, że stał się złym dopiero, jako cząstka społeczna. Że człowiek wyszedł dobry i doskonały z rąk natury, sądził po tej szlachetności, która mieszkała w jego sercu; że społeczeństwo zaś jest złe, jako takie, przekonanie to gruntował pomiędzy innem na krzywdach, jakich sam zaczął doznawać.

Ludzie, z którymi sie stykał, nie znajdowali się pod czarodziejskiem panowaniem tego ducha piękna i natury, który się naraz zjawił przed nim, »gdy, jak mówi, pewnej chwili wiosennej, gdzie wszystko, co żyje, życie swoje objawiało pieśnią i rozkwitem, dumał nad przeznaczeniem tego życia«. Ten duch potężny, duch twórczy, duch, rozwidniający mu cel bytu, ten duch, bez którego wszystko »niebo i demoni«, jak powiada, są tylko świadectwem płonnych dążeń naszych, uciekł ze serca ludzi, śród których zmuszony był żyć poeta takiej miary, jak on Na jego miejscu zapanowała w całej swej brzydocie rażąca niesprawiedliwość i obłuda. W oczach Shelley'a niesprawiedliwym był ten władzca, który. jak powiada w »Królowej wróżek«, mieszka w pałacu, »wznoszącym wież swoich tysiące ponad miastem ludnem«, władzca, który »otoczony szeregiem straży, w złocistym przechadza się łańcuchu, głuchy na klątwy sierót, pozbawianych ojców, głuchy na płacze tych, którym wydarto przyjaciół«. Niesprawiedliwym był ten władzca«, ten niewolnik najpospolitszych namiętności, wlokący na wielką i wspaniałą ucztę żądzę tępego przesytu, uśmiechający się na pochlebstwa nikczemnych sług, którzy spędzają mu wstydu płomienie z twarzy, nabrzmiałej nadużywaniem«.

Niesprawiedliwym był w oczach Shelley'a ten ojciec, rozciągający nad dziećmi swemi nieograniczoną władzę z tej racji, że los mu kazał być ojcem, »katujący tych, których bronić i kochać powinien«, ojciec, »którego gniewu nie ułagodzić ani łzami, ani cierpliwością«. »Bóg! piekło i niebo« woła on we wspomnianej już przed chwilą »Królowej wróżek!« »Z Boga zrobiono bezlitośnego, mściwego, wszechmocnego demona, a jego łaskawość stała się szyderczym wyrazem dla zajadłości krwi spragnionych tygrysów«. »Piekło to otchłań czerwona, wieczystym ziejąca ogniem, gdzie jadowite żmije nieskończone gotują katusze dla biednych niewolników, których samo już życie było straszliwą karą za grzechy«. »Niebo to nagroda onego zbrodniarza, co zbezczeszcza swą ludzką naturę« — człowiek w pojęciu Shelley'a był dobrym z natury — »co wierzy a drży, co w prochu się tarza przed marnym szychem ziemskiej potęgi! Obłudnie brzmią wyrazy »Ojczyzna, sprawiedliwość, kiedy w ich imię z chat wyrywają ludzi spokojnych, każąc im przy dźwięku trąb, przy huku kotłów maszerować na bój i strzelać do rodzonej braci«. Na podobne przekonania poety złożyły się: wrodzona szlachetność, zapoznanie się z idejami wielkiej rewolucji, mianowicie zaś z pismami Rousseau'a – jakkolwiek istotę zasad francuskiego reformatora znał przeważnie z drugiej ręki, — reakcja, jaka zapanowała w Europie po upadku rewolucji, wreszcie krzywdy, których sam doznał. Ostatnie stały do pojęć powyższych w stosunku odwrotnym; do pojęć tych doszedł i z tej przyczyny, ponieważ go krzywdzono, krzywdzono go zaś dlatego, ponieważ takie a nie inne posiadał pojęcia, dając im w życiu wyraz nazbyt otwarty.

W przekonaniach swoich politycznych był republikaninem i kosmopolitą w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Tak przez siebie upragnionej wolności nie rozumiał on w tym sensie, jak współcześni mu poeci Coleridge, Wordsworth, Southey i inni mniej wybitni zwolennicy tak zwanej »szkoły jeziór«, upatrujący ją tylko w politycznej niezawisłości od obcego pana, nazywający jej mianem wszystko, co było angielskiem i purytańskiem, torysowskiem i konstytucyjnem; nie pomni, że pod formą konstytucji największa może rozpanoszyć się niewola, jak też istotnie działo się owego czasu w Anglji dzięki wystudzonemu sumieniu i ograniczonej głowie prezesa ministrów Castlereagha. Kierując się zasadą powszechnej sprawiedliwości, pragnął Shelley swobody dla wszystkich, bez względu na partyjne interesa własnego narodu.

Dobro powszechne, nie tylko dobro własnej ojczyzny miał on też na oku, kiedy ostrze swego ducha zwracał przeciwko politycznej i społecznej demoralizacji, panującej w Anglji.

Anglja bowiem, która dzięki swym liberalnym urządzeniom była jeszcze przed wybuchem wielkiej rewolucji symbolem swobody dla ludów, uginających się pod jarzmem despotyzmu, zaczęła z początkiem tego wieku coraz bardziej tracić fizjognomję państwa wolnego. Na zewnątrz silna i wielkie posiadająca wpływy na losy krajów ościennych, skutkiem szczęśliwie prowadzonych wojen przeciwko Napoleonowi, skutkiem owładnięcia wszystkiemi morzami, zdobycia kolonij

w innych częściach świata, a tem samem zagarnięcia w swe ręce całego handlu produktami zaeuropejskiemi, przedstawiała wewnątrz obraz straszliwej zgnilizny. Na tronie siedział król »ślepy, stary, na pół obłąkany«, skrajny pobożniś i »cantysta«, który jednak, mimo przestrzegania form religijnych i towarzystkich, nie wahał się najnikczemniejszych, najmniej chrześcijańskich używać środków w celu pozbycia się żony, zresztą nie wiele lepszej od niego; który sprawę swego rozwodu do ostatecznego posunął skandalu, który podczas obrzędu ślubnego się taczał, a na weselu, nie uważając na gosci, upił się aż do zbydlęcenia — owoż na tronie siedział król, zachowujący się w sposób najmniej odpowiadający religijnej i towarzyskiej pruderji. Otoczony gronem doradców tego gatunku, jak Castlereagh, Sidmouth i Eldon, którym Shelley nadał imię »bezkrwistych wilków, wyjących suchemi gardłami«, miał zidjociały ten władca, mimo konstytucji, aspiracje nawskroś despotyczne.

W kraju nieopisana panowała nędza, miasta podupadły, tak, że je zwano miasteczkami zbutwiałemi; robotnik, pracujący w fabrykach, zależny był od widzimisię nieuczciwych chlebodawców; lud wiejski mieszkał w chlewkach prawdziwych, nie mając co włożyć do ust skutkiem niepomiernej drożyzny, wywołanej przez »ustawy zbożowe«. Ponieważ jedynie szlachta miała prawo posiadania ziemi, stąd też, po nałożeniu olbrzymich ceł na produkty dowozowe, stanowiła ona samowolne ceny — dla braku konkurencji — na sprzedawane biednym ludziom przedmioty spożywcze. Dodajmy do tego jeszcze niezwykłe ciężary podatkowe, jakie z natury rzeczy ponosić musiał przedewszystkiem lud ubogi, a będziemy mieli obraz nędzy, która, pomimo bogactw kraju, ogarniała warstwy najszersze.

Anglja posiadała skarby, ale skarby to koncentrowały się w rękach niewielu jednostek, w kieszeniach małej stosunkowo liczby lordów i kupców, którzy »ludzki pot i ludzką krew« marnotrawili na zbytki, na rzeczy, nie mające żadnej wspólności z potrzebami normalnego życia.

Parlament, zamiast być środkiem ochronnym przeciwko wszelkiego rodzaju nadużyciom, zamienił się w parodję konstytucjonalizmu, uchwalał na żądanie Castlereagha, Sidmoutha lub Eldona ustawy, ścieśniające coraz to bardziej swobodę, jak np. osławione »prawo kagańcowe«, wymierzone przeciwko wolności mówienia i zagwarantowanej konstytucją wolności pisania; zwracał się przeciwko wolności sumienia, gnębiąc, mordując w niesłychany sposób katolików irlandzkich — dla tego jedynie, że nie chcieli poddać się prawowiernemu kościołowi anglikańskiemu. I nie mogło być inaczej. Składał się bowiem po większej części z protestanckiej arystokracji, otrzymującej większość głosów dzięki systemowi wyborczemu i dzięki przekupstwu, jakiem wrzekomi przedstawiciele ludu, nie mający z nim nic absolutnie wspólnego, zdobywali głosy wynędzniałych tłumów, którym wobec widma głodu obojętnem było, kto będzie zasiadał w ciele ustawodawczem, byle tylko otrzymać kilka groszy na najniezbędniejsze potrzeby życia.

(C. d. n.). *Jan Kasprowicz.*

Postęp społeczny Anglji.

(A. S. Goldenweiser. Prądy i reformy społeczne w Anglji XIX wieku. Warszawa 1894).

»Anglja nie jest już wprawdzie jedynym, ale pozostaje dotąd pierwszym krajem przemysłowym świata. Prześcignięta przez swych nowszych współzawodników w niektórych gałęziach wytwarzania, Anglja przoduje jednak dotąd w wielkiej produkcji na targ wszechświatowy i dotąd jest największym warsztatem świata. W żadnym innym kraju stosunek liczebny ludności przemysłowej do rolniczej nie przedstawia się tak korzystnie dla pierwszej, jak w Anglji. Według spisu w r. 1881, ludność miejska stanowi przeszło $^2/_3$ ogółu ludności, rolnictwo zaś zatrudnia zaledwie $^1/_{10}$ ogółu klas pracujących, gdy przemysł pochłania aż $^4/_7$. W miarę tego, jak inne kraje rozwijają się w podobnym kierunku, zaczynają one upatrywać w Anglji obraz przyszłości, ku której dążą. Anglja jest krajem, w którym mieszczaństwo najpierw doszło do władzy, z Anglji rozpoczął się pochód współczesnego liberalizmu, tutaj też w całej swej doniosłości wynurzyło się wielkie zagadnienie nowoczesne — kwestja społeczna i tutaj wreszcie poczyniono pierwsze próby czasowego przynajmniej jej załatwienia. W ten sposób Anglja staje się niejako społeczną stacją doświadczalną, ku której zwracają się kolejno różne klasy Europy, szukając wskazówek dla siebie«.

Słowa powyższe jednego ze znanych publicystów niemieckich dostatecznie wyjaśniają przyczynę, dlaczego stosunki społeczne Anglji tak często bywają przedmiotem poważnych badań uczonych europejskich. Zwłaszcza literatura niemiecka poszczycić się może kilku pierwszorzędnej wartości dziełami w tym względzie. Jednem z najnowszych jest dwutomowa praca dra Gerharta von Schulze-Gaevernitza, której streszczeniem jest wymieniona w nagłówku książka Goldenweisera. Praca Gaevernitza odznacza się bogactwem materjału faktycznego, zebranego przeważnie na miejscu przez samego autora i sprawdzonego przez kompetentnych Anglików. Praca ta posłuży i nam do skreślenia kilku uwag poniższych. Z góry jednak zastrzec się musimy, że dzieło Gaevernitza nie wolne jest od poważnych zarzutów pod względem grupowania materjału,

a zwłaszcza jego objaśniania, to też w uwagach swoich bynajmniej teorjami autora krępować się nie będziemy.

Jeżeli rzucimy okiem na całokształt zmian społecznych, jakie zaszły w Anglji w ciągu ostatnich 150 lat, zdumieni będziemy ich ogromem i szybkością. W pierwszej połowie ubiegłego wieku Anglja była krajem przeważnie rolniczym i handlowym, władza społeczna spoczywała w ręku arystokracji ziemskiej oraz bogatego kupiectwa. Rozwinięty handel, ulepszone środki komunikacji oraz posiadanie kolonji — oto warunki, które pozwoliły Anglji pierwszej na zastosowanie u siebie nowych sposobów wytwarzania, sposobów, wymagających wielkich targów zbytu. Wielki przemysł tak szybko zagnieździł się w Anglji, tak szybko wyparł dawne formy produkcji (rzemiosło i manufakturę), że przeobrażenie się to, które odbyło się w drugiej połowie ubiegłego wieku, nosi nazwę rewolucji przemysłowej. Nowe metody wytwarzania powołały do życia dwie nowe warstwy społeczne: nowoczesnego przedsiębiorcę i nowoczesnego robotnika. Byli to w istotnem znaczeniu tego wyrazu *homines novi*. Nie istniejące już warstwy zmieniły swój charakter, lecz osobniki z warstw rozmaitych złożyły się na wytworzenie klas nowych. Współcześni spostrzegacze świadczą wyraźnie, że w liczbie przedsiębiorców ogromny procent stanowili *self made men*, to jest dorobkiewicze, którzy samym sobie zawdzięczają swe wyniesienie z niższych warstw społecznych. Tacy właśnie najlepiej potrafili ocenić nowe warunki życia ekonomicznego i najlepiej je wyzyskać. Na klasę robotniczą znowu złożyli się dawni rolnicy, pracownicy upadającego przemysłu domowego, dymisjonowani żołnierze i t. p., wreszcie fabryki pociągnęły do pracy znaczną ilość kobiet i dzieci, t. j. żywioły, które znajdowały dotąd utrzymanie dzięki zarobkowi głowy rodziny i pracy domowej.

Stosunek dwóch klas nowych nie mógł się przystosować do norm dawnych, wytworzonych przy innych warunkach produkcji. Już okres poprzedni, odznaczający się powstawaniem manufaktur poza granicami miast z obowiązującą ustawą cechową, zniósł faktycznie wiele przepisów prawnych, jako też zwyczajów, normujących stosunek pracodawców do pracujących Szybko rozwijający się przemysł wielki zniweczył wszystkie pozostałości dawne. Usiłowania robotników zmuszenia przedsiębiorców do przestrzegania praw dawnych rozbijały się o opór przedsiębiorców, którzy zawładnęli już w znacznej części administracją miejscową i sądami pokoju. Na początku bieżącego wieku wreszcie parlament zniósł formalnie ustawę Elżbiety. Pozostawała więc tylko dobrowolna ugoda stron obu dla określenia warunków wzajemnego pożycia. Obecnie w Anglji może być mowa poniekąd o »ugodzie«, gdyż warunki pracy w fabrykach określają się tam często podczas pertraktacji, umawiań się robotników z przedsiębiorcami. Nic podobnego nie spotykamy na początku ery wielkiego przemysłu. Przedsiębiorca całkiem samodzielnie układał warunki pracy i wynagrodzenia, robotnikowi pozostawała wolność odrzucić je tylko, lub przyjąć.

Dla kapitalisty ówczesnego robotnik był tylko środkiem do wytwarzania zysku. Jak najwięcej pracy za jak najmniejszą ilość pensów — oto hasło przedsiębiorców. Najprostszym sposobem jest użycie taniego robotnika i przedłużenie dnia roboczego. Ztąd to w początkach ery przemysłowej widzimy niezmiernie niskie płace, nieraz nie wystarczające nawet na niezbędne potrzeby, tłumne użycie kobiet i dzieci, nadmiernie długi dzień roboczy (do 20 godzin!) i cały system podstępnego zmniejszania przyrzeczonej płacy (t. zw. *truck*). Nie zgodzić się na warunki, proponowane przez przedsiębiorcę, było rzeczą nader trudną dla robotników. Już sam skład osobisty tej klasy, ogromny udział kobiet i dzieci utrudniał porozumienie się wspólne w celu uzyskania lepszego wynagrodzenia, lub skrócenia dnia roboczego. Zresztą takie porozumiewania się robotników w oczach przedsiębiorców, a nawet w oczach ówczesnej opinji publicznej, było już samo przez się rzeczą karygodną. W końcu XVIII wieku przedsiębiorcy uzyskali cały szereg drakońskich nieraz ustaw, uzupełnionych ostatecznie w r. 1800 i noszących w Anglji nazwę *Combination laws*. Kara więzienia groziła robotnikom za wszelkie układy, mające na celu podwyższenie płacy, skrócenie dnia roboczego, lub jakąkolwiek kontrolę nad pracodawcą. Oprócz tych praw wyjątkowych, stosowano do robotników prawo zwyczajne, tak zwane prawo o spiskach *(Conspiracy)*, przytem pod to pojęcie podciągano »zmowy w celu szkodzenia jednostce, lub klasie za pomocą środków, które same przez się nie są ani zbrodnicze, ani podstępne«. Kronika sądowa z pierwszej połowy bieżącego wieku wykazuje fakty w rodzaju skazania na więzienie za odniesienie listu, wzywającego pomocy pieniężnej dla strejkujących, lub też skazania na kilkoletnie wygnanie pod rozmaitemi pozorami.

W takich warunkach wytworzyły się stosunki okropne. Tłumy ludności, ściągnięte do brudnych i ciasnych legowisk w miastach, pędziły życie nawpół zwierzęce. Pijaństwo i rozpusta były jedynemi rozrywkami, dostępnemi dla robotników w rzadkich chwilach odpoczynku. Życie rodzinne pod wpływem pracy kobiet w fabrykach rozprzęgło się zupełnie. Dzieci, pozbawione wszelkiej opieki, rosły na ulicach i nie przeszedłszy przez żadną szkołę, w 9 roku życia (znane są wypadki pracy w 5 i 6 roku!) wstępowały do fabryki; śmierć przedwczesna lub zwyrodnienie fizyczne były wynikiem ich nadmiernej pracy. Liczba przestępstw kryminalnych wzrastała ustawicznie, wykazy zaś komisji rekruckich świadczyły, że w okręgach przemysłowych nie można było prawie znaleźć odpowiedniego

dla wojska wzrostu. Słowem, zupełny upadek fizyczny i moralny zagrażał narodowi angielskiemu. Na szczęście jednak znalazły się w społeczeństwie siły, które postrafiły stawić opór tendencjom ówczesnego kapitalizmu i uratowały Anglję od zagrażającej jej zguby.

(C. d. n.) *J. KN.*

MATKA.

Obrazek, przepisany ze starego pamiętnika.

Ho, ho, nie zawsze taką jasną była, jak dzisiaj, Warszawka; niestarzy jeszcze pamiętają ludzie, jak w okolicy Freta, Mostowej, było tak ciemno wieczorem, żeś o kroków parę człowieka rozeznać nie mógł, a gdy cię przypadek zaniósł na Dunaj, to choć oczy wykół, nigdzie trafić nie mogłeś.

Na Dunaju tym, jest domek niewielki, o którym między ludźmi chodzą takie legendy, powieści i bajki, jak o starych zamkach w ruinach, rozsianych bardzo obficie po rozmaitych zakątkach ziemi naszej.

W dolnej połowie tego domku, kiedym go oglądał, mieszkała rodzina szewcka, dzielna i uczciwa, a tyle o niej słyszałem dobrego, żem się z nią bliżej zapoznał, o jej dziejach dowiedział, i z tych wiadomości niniejsze opowiadanie skleił.

Z otwartych okien tego schronienia szewckiej rodziny wybiegała zawsze piosenka wesoła, ochocza, pełna życia i ognia, wkradała ci się do duszy i dziwną jakąś sympatyczną nicią ciągnęła ku sobie.

W pokoju czystym i schludnym mieszkała znana Szydełków rodzina przez kilka już pokoleń z rzędu.

W drugim pokoju przy oknie, na fotelu wygodnym siedziała staruszka z drutami w rękach, robiąc pończoszkę, a twarz jej przedstawiała jedną z tych miłych, sympatycznych starych twarzy, którą raz ujrzawszy, zapamiętać trzeba na życie całe; zmarszczki jej czoła, łagodny, miły uśmiech, rysujący się wokoło ust, oko dość żywe jeszcze, składały się na tę harmonijną całość, która w starości poszanowanie budzi.

Pani Antoniowa Szydełko dawne bardzo pamiętała dzieje, a gdy wspominała o nich, to twarz jej powlekała się smutkiem rzewnym, oko łzą zachodziło, a na czole zasiadała chmura.

Kiedym rozmawiał z Szydełkową, byłem studentem, lubiła mnie ona może za to, że tak skwapliwie słuchałem tego wszystkiego, co mi z przeszłości opowiadała.

Nad łóżkiem jej prócz Jasnogórskiej Bogarodzicy wisiały jeszcze dwa medaljony ze słoniowej kości, w jednym z nich po bardzo pilnem wpatrywaniu się dobadać się mogłeś portretu jakiegoś dojrzałego wiekiem mężczyzny, w drugim kosmyk włosów tylko.

— To mój jegomość — powiedziała mi raz staruszka, gdym się o medaljonik pytał.

— A to, jego włosy? — zapytałem wskazując na medaljon drugi.

— Nie, to włosy mojego najukochańszego syna, którego zabiłam.

Spojrzałem na staruszkę, bo zdało mi się, że bredzi, ale twarz jej w tej chwili miała taki wyraz na sobie poważnego smutku, ręce kurczowo zaciśnięte tak drżały, a oko suche tak pałało, że mi to wszystko złożyło się na dowód, że słowa, które doleciały uszów moich, nie były brednią, ale prawdą.

Osłupiały nie śmiałem dalej pytać, gdy ona szepnęła:

— Tak, zabiłam go, bo zasłużył na to. Posłuchaj, może ci się to na co przyda, choćby dla tego wreszcie, żebyś mógł ludziom kiedyś powiedzieć, iż wśród rzemieślniczego świata naszej Warszawy były matki, które synów zabijać umiały. Zabiłam, a jednak nie żałuję tego dzisiaj i gdybym żyć rozpoczęła na nowo, uczyniłabym to samo, Bóg mnie rozumiał i... przebaczy.

Byłam córką warszawskiego rzemieślnika, tu na Starem Mieście moje gniazdo, tam siedział dziad i pradziad mój, tam szanowali ich ludzie, ojciec mój buty robił tylko, ale mu panowie rękę ściskali, bo miał uczciwe, czyste ręce, mój panie. A gdy umierał, zawołał nas wszystkich i błogosławiąc rzekł: Jaguś, prócz dobrego imienia nie zostawiam wam nic prawie; tyś najstarsza, pilnuj swych braci, ażeby się żaden z nich nie zwalał. Nieboszczyk powiedział to do mnie, do najsłabszej ze wszystkich; wiedział, że ja go rozumiem.

Pilnowałam braci moich i żaden z nich na marne nie poszedł, a za to dotrzymanie słowa umierającemu ojcu dał mi Bóg szczęście na życie całe; poznałam mego Antoniego i szczycić nim się mogłam, taki był dzielny majster. Kochaliśmy się i zostałam jego żoną. Warsztat szedł dobrze, ludzie kochali i szanowali mego Antoniego. Zamieszkaliśmy tu na Dunaju, w tym domku, jak pan widzisz, w którym sami tylko uczciwi mieszkali ludzie. Bóg nam dał dwóch synów, a że mój kochał tak swoje rzemiosło, jak pan swoje książki, jak szlachcic ziemię, jak żołnierz swój karabin, mówił tedy: »Tak, te dwa smyki dalej muszą dźwigać uczciwy mój warsztat«. A kochałam ich obu gorąco, jednako, nad życie; a milszym mi był tylko ten, który cierpiał. Serce matczyne nie patrzy na naturę swojego dziecka. Matka kocha, bo pamięta, że je rodziła w boleściach, ale nie z jednakiej gliny ulepieni są ludzie. Z jednego drzewa, mówi przysłowie i krzyż i łopata się robi, z jednakiego ziarna różny kłos wyrasta; tak Bóg dopuścił i u nas. Antek, starszy, którego kochałam nad życie, miał

taką dziwną naturę w sobie, że już od maleństwa drżałam nieraz, patrząc na to, co robi. Janek, młodszy. choć go do rany przyłóż.

I rośli tak; ojciec pociągla nie żałował na grzbiet Antka, nie było dnia, aby surowa plaga nie spadła na niego, bolało mnie serce, płakałam po kątach, alem milczała zawsze. Janko mi łzy ocierał, gdy je zobaczył, a Antek pięści zaciskał, i gdy ojciec za próg wychodził, odwróconemu wygrażał; a gdy plagi otrzymywał, stał nieruchomy z zaciśniętemi zębami, nie roniąc łzy jednej.

— Oj doloż moja! myślałam sobie, co z tego chłopca wyrośnie.

— Doloż nasza! szeptał nieboszczyk Antoni, gdy po pracy usiadł przy mnie i o przyszłości dzieci prawić zaczął. I przyszła dola ciężka; stary mój zachorował, do łóżka się położył i powtarzał ciągle: »Oj doloż moja, co to z Antkiem będzie«. I łzy ocierał a myślał.

— Jaguś — mówił, jak niegdyś ojciec mój stary — pamiętaj, on nas zwala. Nie — odpowiadałam, chwytając nieboszczyka za rękę. Pilnowałam domu i nazwiska naszego po śmierci ojca, pilnować będę, kiedy i ciebie nie stanie.

— Co zrobisz ty, słaba niewiasta?

— Alem matka! zabiję, skoro będzie potrzeba, a zwalać się nie dam.

Powiedziałam mu to już wtedy, gdy oczy na wieki zamykał.

— Zabij! — wyszeptał umierając — przysięgnij mi to.

Przysięgłam; a on mi błogosławił.

Tu staruszka opowiadanie swoje przerwała na chwilę, ku oczom fartuch biały podniosła i grube, duże łzy otarła; nie śmiałem pytać i siedziałem w milczeniu, zapatrzony w tę twarz surową i poważną, z której kłamstwo wyjść nie mogło nigdy.

C. d. n. *Michał Wołowski.*

Nieboszczka Barbara,

przez

Karolinę Świetlę.

(Ciąg dalszy).

Nie jadali też z Maćkiem innemi, jak cynowe, łyżkami, ani z innych, jak kamienne, misek, nawet nie posiadali na swem gospodarstwie, ani jednej drewnianej łyżki, ani jednej drewnianej miski. Rzecz równie pospolita nie byłaby się u nich znalazła, gdyby nawet całą chałupę od piwnic do strychu przewrócono do góry dnem. Nie można się więc tak bardzo dziwić Maćkowi, że udawał wielkiego pana, ani Baśce, że mu na to pozwalała.

Maciek tak się teraz urządził, jak sobie zawsze planował: puścił kantem wszelką robotę gospodarską i poświęcił się wyłącznie wiązaniu mioteł. Baśce nie pozwalał również paść, ani po drzewo chodzić do lasu. Pamiętać o tem wszystkiem było obowiązkiem komornicy, jej zaś wolno było tylko się krzątać koło pieca i prząść, siedząc obok niego na ławie. Żądał niemniej, aby wciąż na niego zwracała oczy i aby go podziwiała.

I podziwiała go Baśka nietylko dla tego, że czegoś podobnego żądał, lecz z całą szczerością. Robił nie same tylko miotły, ale i latarnie, klatki, co kto chciał. Mnóstwo ludzi wiedziało teraz o Maćku i do niego się udawało. On sam nie wątpił zresztą nigdy, że stanie się kiedyś sławnym. Opowiadał często dzieciom, że zawsze o tem myślał wówczas jeszcze, gdy Baśka przy pomocy gałęzi broniła go na pastwisku. Upominał przytem dzieci, by dawały pilne baczenie na każde jego słowo i każdy ruch, aby mogły stać się mu kiedyś podobnemi, jakkolwiek powątpiewał wielce w skuteczność tych usiłowań, nie dostrzegając w nich nic, coby mu jego własną osobę przypominało.

Gdy zdarzało się, że dzieci musiały przez cały dzień koło Maćka skakać, przybiegać do niego i odbiegać, mówić i nie mówić, podawać mu najrozmaitsze przedmioty, lub stać w milczeniu i okiem nie mrugnąć, stosownie do tego, jaka mu przyszła fantazja do głowy, — wówczas Baśka dawała im jaki przysmaczek, którego od matki mieć nie mogły, aby tem chętniej słuchały rozkazów Maćka. Ale on nie powinien był o tem wiedzieć. Robiła to zawsze w wielkiej przed nim tajemnicy, aby niczego się nie domyślił; ile zaś razy zauważył jej praktyki, wnet się chmurzył, mrucząc: »Nie mogłaś dla mnie tego zachować? Byłbym zjadł ze smakiem, a dzieci to wnet strawią«.

Psią budę z gwiazdami i księżycem, o której tak długo i z takiem uniesieniem marzył, przed własną teraz postawił chatą.

— Dlaczegoż nie moglibyśmy mieć czegoś takiego, czego nie mają inni? — mówił do Baśki i kupił do tej budy psa, a chociaż ten całkiem białą miał sierść, nazywał go Cyganem, bo dawniejsza jego gospodyni miała psa Cygana, więc nie mógł od tego imienia odwyknąć.

Skoro wiatr zrywał się na dworze, Maciek pogrążony w zamyślenie, milczał całemi nieraz godzinami.

— I cóż ci tam po głowie chodzi? — zapytywała Baśka, uśmiechając się z dumą. Wiedziała,

że knuje coś takiego, coby nikomu innemu na myśl nie przyszło. Jakoż nie omyliła się.

— Rozmyślam, czy nie dałoby się zrobić takiej oto klatki, do którejby można było wiatr schwytać i zamknąć. Mieliby stąd ludzie w naszych górach nielada wygodę, nieprawdaż, Baśko miła?

Od czasu, jak się pobrali, nie mówili sobie inaczej, jak »Maćku miły« i »Baśko miła«.

Baśka zgadzała się, że byłoby to wielce ludziom na rękę, gdyby mogli wiatr w klatce zamknąć i w ten sposób pozbyć się go raz na zawsze.

— A kto wie — kończyła swoje uwagi — czy się ta sztuka tobie nie uda? Skoro ludzie wynaleźli sidła na piorun i w takowe go pojmali, dlaczegożbyś ty nie miał wymyśleć takiej klatki, w którąby można było wiatr uchwycić?

Zdarzało się niekiedy, że Maciek ni ztąd ni zowąd ciskał miotłę i wyciągał się na ławie za stołem.

— Wszak nie potrzebuję pracować, gdy mi się niechce, nieprawdaż, Baśko miła? Nikt nie ma prawa rozkazywać ani mnie, ani tobie. Rzuć-że i ty przędziwo i pójdź usiąść obok mnie za stołem. Łykniemy krzynę, a przytem zaciągniemy się i wyrżniemy w karcięta.

— Niech i tak będzie! — zgadzała się Baśka, wstając od kołowrotka i kierując się ku półce po fajkę, karty i kieliszki.

Zapalali każde swoją fajeczkę, Baśka nalewała w kieliszki gorzałki, mięszała karty, poczem grali, kurzyli, popijali, aż się góry radowały Maciek właściwie nie umiał z początku fajki palić, ani w karty grać, a gorzałka z trudnością przechodziła przez jego gardło, do serwatki jedynie nawykłe. Ale Baśka tak go długo przekonywała, że przecież będzie mu czegoś brakowało, dopóki nie nauczy się wypić od czasu do czasu, w karty zagrać i fajeczki zakurzyć, że dał się w końcu namówić. Ale musiała i ona razem z nim skosztować tych przysmaków, bo inaczej nigdyby do tego nie przyszło. A teraz chcąc, aby i nadal zachowywał się, jak przystoi na porządnego gospodarza, który chce mieć jakie takie u ludzi zachowanie, musiała w dalszym ciągu palić fajkę i pić gorzałkę.

Jak tylko Baśka urządziła się na nowem gospodarstwie, przypomniała sobie zaraz o Wamberzycach, głęboko będąc przekonana, że dla tego przyświeca jej tak szczęśliwa gwiazda, że ją tam matka ofiarowała.

Maciek nie mógł się jej doczekać z owej pielgrzymki. Pierwszego zaraz dnia biegł co chwila do okna, aby zobaczyć, czy już nie wraca do domu. Dla skrócenia sobie czasu posuwał wskazówki zegara, szedł spory kawał drogi na jej spotkanie, robił kreski na drzwiach, aby porachować, od ilu dni jest nieobecna i kiedy może być z całą już pewnością z powrotem.

— Czego za wiele, to za wiele! — jęczał nie mogąc się jej doczekać i sam wracając do izby. Przez cały ten czas nie dotknął kart, ani fajki ani kieliszka, ha, wziął nawet w obrzydzenie miotły. Komornica nie umiała ani stąpić ani spojrzeć po jego myśli. Zobowiązała ją Baśka, aby gotowała dla Maćka podczas jej nieobecności, ale wszystko, co dała mu na stół, miało — jego zdaniem — jakieś braki.

Najgorzej wychodziły na tem dzieci; jak tylko się na oczy mu nawinęły, biegł ku nim z miotłą w ręku i wyganiał precz, a gdy nie było ich w izbie, leciał w ślad za niemi — również z miotłą — gniewając się, że nie ma kim się w chałupie posłużyć. I powtarzało się to raz po raz, zupełnie jakby w jakiej komedji. Słoneczko stało jeszczo wysoko na niebie, a on już krzyczał na komornicę: »Zmówcie pacierz z temi dzieciakami, niech idą spać, abym już raz miał spokój!« A skoro zmówiła z niemi pacierz i na siano je wyprawiła, wnet napadał na nią, wołając, że chce dzieci swoje wychować na nicponiów, które nauczą się tylko spać i brzydką, zaiste, śmiercią zejdą z tego świata. Tą brzydką śmiercią takiego biednej matce napędzał strachu, że porywała miotłę i leciała zganiać dzieci z siana. A potem rozespane maleństwa musiały zasiadać wraz z nią w sieniach koło przewróconej dnem do góry kadzi i drzeć pierze na pierzynę. Darły zwykle dopóty, aż wraz z matką nie padły na ziemię, gdzie zmęczone strachem, bieganiem i ustawicznym niepokojem, spały aż do rana, a tam zaczynała się ponowna krętanina.

Miała Baśka po powrocie do domu nie mało roboty z godzeniem i uspakajaniem swarów, Zastała wszystkich wymizerowanych i słabych, słyszała zewsząd same skargi, wytoczono przed nią mnóstwo spraw, w których trudno jej było zastępować sędziego. Ale rozstrzygnęła wszystkie jednym zamachem, obiecując z ręką na sercu, że nigdy już na żadną nie pójdzie pielgrzymkę. Nie przypuszczała wówczas jeszcze, biedaczka, że czeka ją wkrótce inna pielgrzymka, z której już niema powrotu.

V.

Zaczęła jakoś ni stąd ni zowąd puchnąć Baśce ręka.

— A to dlatego pewnie — mówiła do Maćka — że nic porządnego teraz nie robię. Wszystka siła zostaje w ramieniu i stąd tak mi nabrzmiewa. Próżnowanie nie każdemu na pożytek wychodzi, jak to często mówiłam ci wówczas jeszcze, gdyśmy byli narzeczeni i gdyś chciał, aby wszyscy jeździli powozami i nic nie robili.

Boląca ręka Baśki niepodobała się komornicy: zdawało się jej, że choroba idzie od kości.

— Jak tylko zniknie śnieg, wnet pobiegnę za góry po znachora. Jest to bardzo sławny człowiek i nie każe sobie drogo płacić.

— Niech tylko powie, ile trzeba zapłacić, a wnet wyliczę mu wszystko na tym oto stole — chełpił się Maciek, pobrzękując groszakami. Martwiło go, że Baśka z powodu chorej ręki siły traci i musi raz wraz przylegać. Jak tylko nie miał jej obok siebie, wnet zaczynał tęsknić. Musiała łóżko swoje przysunąć aż pod okno, aby mogła go dobrze widzieć i on ją również.

Nie doczekała komornica zejścia śniegu i jak tylko pierwsze ciepłe promienie słońca przygrzały ziemię, a lód w ogródku pod oknem zaczął tajać, nie troszcząc się o zawieje, puściła się w drogę przez góry do znachora i przywiodła go szczęśliwie do Baśki.

Znachor opatrzył nabrzmiałą rękę, wydobył jakąś oliwę i kazał starannie nią nacierać, dodając, że w razie, gdyby to nie pomogło, mają znowu po niego przysłać, a wówczas da taką wodę, która z pewnością ulgę przyniesie. Ale Baśki tem nie oszukał.

Wyczytała mu z oczu, gdy po obejrzeniu ręki spojrzał na komornicę, że nie pomoże jej żadna już oliwa, ani żadna maść; zrozumiała, że nie wróci już nigdy do zdrowia. — Komornica miała słuszność: kość zaczynała się jej psuć.

Komornica wyszła odprowadzić znachora, a wślad za nimi wysunął się i Maciek, aby posłuchać, czy jego pieniądze, do których Baśka sporą jeszcze kupkę dodała, tak pobrzękują w kieszeni nowego posiadacza, jak niegdyś w jego własnej. Baśka pozostała sama w izbie.

Przez chwilę siedziała na posłaniu, nie wiedząc, dokąd się rozpierzchły wszystkie jej myśli z głowy, która teraz wydawała się jakby całkiem pusta. Nie mogła wyobrazić, jak potrafi Maciek dać sobie bez niej rady, kto mu powie w niedzielę, w co się ma ubrać: w kożuch czy też kapotę? Kto pójdzie z nim razem do kościoła w zielonej sukni, z kim będzie rozmawiał, grał w karty, palił fajeczkę, kto mu na stare lata dotrzyma towarzystwa, usłuży, dogodzi...

Wyjrzała oknem do ogródka, gdzie Maciek, pozostawiając komornicy dalszy trud odprowadzania znachora, zatrzymał się był, aby znowu pomusztrować trochę dzieci, które dziś poraz pierwszy odważyły się na dworze bawić.

Był to cudny wieczór wiosenny. Na śnieżnych szczytach gór płonęły korony i róże, niebo, podobne do złocistego morza, bladło stopniowo, aż zamigotały w jego głębi pierwsze gwiazdy. Uśmiechały się do gór, ciesząc, podobnie jak i tamte, że znowu będzie dokoła zielono i wesoło, że pachnąć będą jodłowe lasy i rosnące w ich cieniu fijołki, że pieśń słowika zabrzmi nad potokiem, że z każdej skały wytryśnie pęczek kwiatów, a na każdej miedzy zaśpiewa skowronek. Wszak i gwiazdom bywa smutno, gdy nie widzą w dole na ziemi nic innego, prócz śniegu, szronów, lodu.

Baśce zwilżyły się oczy i bujne krople łez padać zaczęły na modlitewnie złożone jej ręce. Dla niej rozkwitała wiosna po raz już ostatni — ale wnet zaczęła znowu myśleć o Maćku.

— Nie powinien sam zostać na świecie. Teraz, gdy ma chałupę, weźmie go chętnie nietylko byle jaka dziewczyna, lecz i najporządniejsza, najzacniejsza... Najlepiejby było, gdybym mogła sama upatrzyć mu jaką... Szkoda, że nie nie ma serca do komornicy, ta nie wyrządziłaby mu krzywdy...

Wtem wpadła do ogródka młoda dziewczyna, która odnosiła pożyczoną siekierę i zaczęła z Maćkiem żartować.

— Kiedyż nakoniec pójdziecie do rozwodu z tą swoją żoną, aby się zemną ożenić? — zagadnęła ze śmiechem.

Takie pytania zadawały niemal wszystkie dziewczęta Maćkowi, gdy go samego spotkały, ale on to brał zawsze na serjo.

— Chciałabyś? — odrzucił wzgardliwie, prostując się tak, że zdawał się o całą głowę wyrastać. — Bardzo wierzę. Chciałoby i wiele innych. Muszę się wciąż im opędzać. Ale zapamiętajcie to sobie wszystkie i raz nazawsze, że za całe Jeruzalem nie wziąłbym innej, niż Baśka. Nie byłbym jej porzucił nawet, gdyby się do mnie zgłosiły dziewczęta aż z Pragi ze siedmiu złotemi grodami.

— A cóżby było, gdybyście owdowieli?

— Nie pójdziesz! — zawołał Maciek, tupiąc nogami i cały czerwony ze złości, zamierzył się w żartownisia siekierką.

Dziewczyna śmiała się teraz jeszcze głośniej, ale musiała zmykać, wziąwszy nogi za pas, przed jego zapalczywością. C. d. n.

PRO MEMORIA.

2. grudnia 1797 r. Ogłoszono okrutny wyrok, skazujący ks. Cieciorskiego i 70 innych spiskowców litewskich „na knutwanie pop. pręgiorzem, na ocechowanie lica, na wydarcie nozdrzów i najcięższe w kopalniach syberyjskich roboty“ Car Paweł złagodził następnie ten barbarzyński wyrok.

4. grudnia 1896. Towarzystwo Demokratyczne ogłosiło słynny swój manifest, w którym powiada, że ziemię, jako i wszelką inną własność pracy tylko przyznaje społeczność zasadom swoim wierna

5. grudnia 1848 r. Jenerał Bem przybył, jako gubernator do Siedmiogrodu, gdzie się wsławił czynami wojennemi.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.